ROZMAITOŚCI.

Dnia 15. Lipca. № 28. Roku 1857.

Epopea mieszkańców wysp towarzyskich.

(Z dzieła „Sept ans en Océanie“ przez H. de Coux.)

(Dokończenie, obacz N. 27 Rozm.)

To co nazywają „bototu“ jest olimp tonguski i nie da się żadną miarą oznaczyć wyrazem, któryby odpowiadał pojęciu o tem miejscu rozkosznem. Tą razą zabrakło Polineanom widocznie fantazyi. Mając na wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów mnóstwo wyrazów, nie zdołali wynaleść odpowiednich na dokładny opis dziedziny niebiańskiej, i wielka w tej mierze zachodzi u nich niepewność. Ziemia, to jest „Tonga“, wydobyta była wędką z dna morskiego: w okamgnieniu okryła się trawą i kwieciem ku wielkiemu podziwieniu bogów. Najmłodsi z tych nieśmiertelnych przyłożyli się jeszcze do większego jej upiększenia, a przeciwni powadze bóstw cichych w raju chcieli choćby na chwilę wyłamać się z pod opieki bóstw wyzszych, i używać chwil swobodnej niezawisłości na tym nowym świecie. A był to: „Muj“, ce leży na wznak i dźwiga świat na sobie, wyprężony „Tuu“ (przodek niebiański rodziny królowej Pomary, tudzież „Tane“ i Lono.“

Morzem dostali się na to nowe wybrzeze, a błąkając się w cieniu gajów używali rozkoszy głuszy leśnej, poili się wonią powietrza ziemskiego i zasmakowali sobie w słodyczy owoców ziemskich. „Była-to śmierć, której szukali; — ci co owocu tego zakosztowali, tracili boski swój przymiot“, ulegali śmierci i pozbawiali się na całe już życie doczesne rajskiej uciechy. Wieść o tej przygodzie uciesznych wychodźców sprawiła w bolotu wrażenie nie miłe. Czterej wielcy bogowie wydali natychmiast wyraźny zakaz czterystom i czterotysięcznym bogom, by na przyszłość nie opuszczali już przybytku niebiańskiego, i że nawet choćby dla samej ciekawości nie wolno im dowiadywać się o sprawach na ziemi. Zmarli tylko przynosili niekiedy ciekawą wieść ztamtąd. Byt bogów dawniejszych był zresztą niezgorszy: „stworzyli sobie ludzi (gmin pospolity) i niemi rządzili, jedli, pili, kochali do woli, a gdy dusze ich śmierć już owładnęła i powrócili do nieba, nie bardzo się tem zdawali radować. Utrzymywali nawet, że nie wiele stracili na wydaleniu swem z raju; opowiadali wielkie dziwy o ziemi, chlubili się nie jednem zwycięztwem i z wesołym uśmiechem prawili o rozkoszach, jakich na ziemi doznali. Najmłodsza dziatwa w raju słuchała tego ciekawie. Szczególnie rozpowiadały sobie młodsze boginie o tem, że pewnego ranku pogodnego dwie z nieśmiertelnych, dziewice Languj, córy członka rady bogów, córy wysoce w raju poważanego chociaż niedowidzającego boga wybrały się z nieba tajemnie, i nie mogąc się oprzeć spojrzeniom „uroczego nieznajomego“, puściły się łodzią na morze. Śmiertelni spostrzegli je zdala i zdumieli się nad ich boską pięknością, która między córami ziemi coraz już rzadszą się stawała. Wszyscy męczyźni rozmiłowali się w nich natychmiast — i oto! tyle już utracili z dawnych swych boskich przymiotów, że ich szał potąd nieznany ogarnął. Z niepohamowaną zaciekłością wszczęli bój o „miłość obu dziewic pięknych“ które pokój chciały zanieść ziemianom.“ Bitwa narobiła wielkiej wrzawy, zachrzęsły bowiem włocznie i dziryty, zawarczały proce, pod razami maczug tętły i trzeszczały czaszki; wrzawa wojenna i odgłos surmy zwołują coraz większe tłumy walczących.

Languj, bóg niedowidzający, miał słuch dobry, zaszła go wrzawa i dowiadnje się, że wycieczka córek jego powodem boju, który mógłby wygubić cały ród śmiertelnych „dla ofiar swych tak wielce bogom pożyteczny“. Uniesiony gniewem niepohamowanym porwał za gromonośną swą buławę i jednym zamachem rozpędził tłuszczę walczących. Strwożone boginie schroniły się do lasu, jedna i druga w towarzystwie junaka, co im ma ścieżkę ukazać. Lecz niezmużony bóg nie-

dowidzający ściga ich bez ustanku i nie daje zbiegom i chwili wytchnienia. Ucieczka i pogoń ta stanowi w opowiadaniu krajowców ustęp bardzo ucieszny, i niepodobna oddać go zupełnie w drażliwych językach świata starego. Wypada mi więc zamilczeć o szczegółach niektórych, i tylko powiem, że cała ta przygoda kończy się bardzo żałośnie: nieszczęśliwe boginie padają znużone na ziemię i giną pod razami gromonośnej buławy ojcowskiej. „Bije raz po razu, gniecie na miazgę biedne te ciała, lecz duszy ich zabić nie może. Wolno mu jednak wcielić je za karę w inne stworzenia żyjące: jedną więc zamyka w żółwia, a drugą w jaszczurkę.“ Obie te istoty nie są według wyobrażeń europejskich bardzo powabne, i zdaniem naszem mniej godne na przybytek bogiń. Zważyć jednak należy, że wyspiarze nie wiele tylko znali zwierząt, i że prócz tego według polineskich pojęć kosmogonicznych przypisywano żółwiowi znakomite przymioty. W hieroglifach tatuowanych zawiera w sobie znak żółwia wyobrażenie o człowieku, a na niektórych wyspach może żółw zastąpić nawet ofiarę z ciała człowieczego, jak niegdyś w Grecyi ofiarowano bogom łanię miasto Ifigenii. W takim jednak razie musi żółw ważyć mniej więcej tyle co człowiek dorosły i zachodzić brak jeńca, który po upieczeniu ma być uroczyście zjedzony. Być też może, że podanie o wcieleniu się córy Languja w żółwia zjednało wziętość tę dla żółwia. Co zaś do jaszczurki, to tylko podobieństwo jej do płazu jadowitego w naszym klimacie podało ją w obrzydzenie. O podobieństwie tem jednak nie wiedzą wyspiarze oceańscy bynajmniej, gdyż nie mają u siebie żadnych płazów szkodliwych. U nich jak i u stwórcy świata należy „m a o“, jak niemniej kwiaty i motyle zarówno do ozdoby tej ziemi. Jaszczurka jest przyjaciołką człowieka tak w Polinezyi, jak i w starym świecie, gdzie przecież tyle jest jeszcze uprzedzenia przeciw zwierzętom nieszkodliwym.

Od nieodstępnej jaszczurki takiej nadano też imię księciu młodemu, którego według przyjętego zwyczaju ogłoszono zaraz po urodzeniu następcą władzy matczynej. Kronika nie wspomina i słowem o jego ojcu, który zapewne musiał być rodu nizkiego. Kapłani, przywódzcy stopnia drugiego i lennicy przybyli z wielką pompą dla złożenia mu hołdu i postawienia na pysznej swej głowie drobnej stopki nowonarodzonego, który miał nad ich synami panować. Spostrzegli przy tem jedną z tych ciekawych jaszczurek na pieluchach dziecięcia królewskiego; płaz zabawny nietylko nie zraził się szmerem i obecnością tylu ludzi, lecz nadto zdawał się czuwać nad śpiącą dzieciną. Jaszczurka spędzała muchy, których złowić nie mogła i we wszystkiem okazywała szczególną życzliwość dla dziecka. Czasami usiadała na białej „tapie“, którą sysak był nakryty; drobniutką swą główkę zbliżała ciekawie aż do ust — do otworu duszy jego, jakby usteczka dziecka były kielichem kwiatka rozkwitłego. I mimo wielu „imion szlachetnych“ jakie dziecku królewskiemu nadano, jedno się tylko rozpowszechniło — imię L e z e - N a l a l a, to jest Jaszczurka czuwająca.

Szczegóły te znane były wszystkim, lecz o namiętnej miłości córki Languja do dziecka nikt nie wiedział. Nie domyślano się nawet tego, że czasem we śnie zbliżała się do ust jego — „aż do otworu duszy“, jak mówią wieszcze, wrażając sercu jego dziwne uczucia miłości nieznanej, życzenia chymeryczne, dążenia niepodobne do urzeczywistnienia, co wszystko mimo z żalem dziewic nadobnych, lecz na wielką pociechę matki zazdrośnej wyrodziło się w rodzaj niepojętej obojętności na wszystkie uciechy wieku młodzieńczego. Poważny, jak jego matka, znajdował upodobanie tylko w towarzystwie przywódzców lub kobiet statecznych i roztropnych, co umieli opowiadać o „sprawach dawno minionych“, lub w gronie rówienników hartował swe ciało i sił swych doświadczał. „Nikt mu nie zdołał wyrównać w biegu, i nikt lepiej od niego nie sterował łodzią. Nad niego nie było zwinniejszego w zapasach; powiadają nawet, że mimo wieku młodocianego powiodło mu się raz zwalczyć przeciwnika dziwną sztuką, zwaną „tuninia“. Sposób w tem taki, że szermierz schyla się nagle do stóp współzapaśnika, chwyta go za obie nogi u kostek, podnosi w górę i ciska przez głowę; w takim razie upada pochwycony na głowę, i zwykle kark łamie. „Piekne to igrzysko, a zachwyceni widzowie nagradzają zwycięzcę gałązkami palmowemi i hucznemi oklaskami.“ Młody książę śpiewał też dobrze i znał się doskonale na szykowaniu taneczników; wynalazł nawet grę „f o s s a a“, do której bierze się gałki kamienne i muszle perłowe. Lubiano go przeto a młodzież nim się szczyciła, chociaż niechciał żadną miarą przewodniczyć jej w wycieczkach miłośnych i innych. Najmilej błąkał się samotny w swej łodzi z dzirytami swemi i harpuną; puszczał się na

morze otwarte po-za skały koralowe zabezpieczające wyspę od nawałności morskiej, a puszczając się na los szczęścia zachwycał się widokiem fal spienionych i lotem ptaków nad sobą.“

Po niejakim przestanku użytym bardzo zręcznie w tem miejscu opowieści, kończyła Otare pieśń o królewiczu głosem znów wzniesionym przeplatajac prozę niekiedy rytmami. Łodź pędziła, wciąż pod wiatr pędziła, a jednak żagiel jej był wzdęty w kierunku żeglugi; pędziła chyżo i straciła już z widoku szczyty Tonga Taby, Eloi i Hapai; mknęła morzem nieprzejrzanem, pruła wody nieznane. gdzie nawet i ryb już nie było; same tylko haje i wieloryby wzburzają tam morze, i gdzie niezliczone stada ptactwa krążą około nich jakby około rzeczy do nikogo już nie należącej; on — królewicz, drzemał nieprzerwanie! „Cóż to za łodź nieznana, co pędem tu leci? — Goni jak ptak w poprzek skał do brzegu. — Wojownicy dzielni, pochwyćcie za włocznie! — Łodźto powiązana starannie włóknem kokosowem! — Patrzcie, cała ozdobiona muszlami! Ma piękny żagiel pleciony z farai. Gardziel jej wygięta na morze jako szyja kaczki. — Jest-że to nieprzyjaciel, co nas chce wytropić? — Czy może nieboszczyk to jaki, którego fale nam podają! — Wojownicy dzielni, pochwyćcie za włocznie — ijmijcie się maczug potężnych; — przyrządźcie i proce wasze, — i weźcie za tarcze!“

Łodź przybija do brzegu, lecz książę się nie budzi, otaczają go, każdy radby przypatrzyć się zbliska temu hożemu młodzieńcowi; przepatrują łodź jego, harpuny, nakrapiania i nacinania na ciele, i długo się nad tem rozwodzą; Leze-Nalala spi ciągle aż pokąd sam król nie przybył. „Wtenczas strząsa ciężki sen z siebie, i z początku lęk go jakiś bierze: któżby się nie uląkł widząc się w obec tylu obcych twarzy?....“ — Pyta król głosem surowym i w obcym języku: „Coś ty za jeden? — zkąd tu przybywasz? — Jam. rzecze książę, syn Fitimo-Pologi i jestem z Tonga-Taby. — Nie znamy żadnej Tonga-Taby — zakrzyczano zewsząd, „cóż to za jedna twoja ta Fitimo-Pologa?“ — Królewicz zbył się swej bojaźni przejęty uczuciem obrazy, że znanego wszystkim o ród go pytają. — „Tonga, rzecze z dumą, jest wyspa, a Fitimo-Pologa, córa bogów, jest królową Tongi.“ — Słychać krzyk i groźbę; jedni się odgrażają, drudzy rwą się już do broni. — „Jakto! Jest-że jeszcze i inny kraj jaki? Co? Są jeszcze i ludzie, których my nie znamy!“ Przerywają inni: „Może to wrogi, coby chcieli najść na nas hurmą, jak wyspiarze z Sawai. Połóżmy go trupem!... Stójcie, ozwie się jeden z kapłanów, odłożmy to do obrzędów pogrzebu — będziem mieć gotową ofiarę; może to ten sam, co winien śmierci córki króla naszego zmarłej w kwiecie swojej młodości!“ A było to istotnie, że dniem przed tem umarła królewna; leżała już na marach wzniesionych na łodzi, a w kilka dni miano ją pochować w Morae obok zmarłych jej przodków: tymczasem namaszczały ją płaczki według zwyczaju balsamem i spiewały pieśni żałobne. „Spowijały ją i darły sobie ramiona; nacierały ją heką i zawodziły żałośnie.... Smutne to było miejsce i ponure, gdzie zbudowano grobowiec królewski Morae; wielki mur kamienny otaczał go wkoło; były to kamienie wielkości ogromnej, jakich-by mężowie dzisiejsi już nie udźwignęli. Dziedziniec grobowca zacieniały drzewa wybujałe, a do jednego z tych drzew uwiązano królewicza młodego więzami z puru; „skrępowano go mocno więzami grubemi“. Dokoła niego pokładli się wojownicy gotowi go ubić na miejscu, gdyby chciał uciekać; zatwardziali ci wojownicy pokładli się na włoczniach swych i na maczugach, i tak sobie mówią: „Nie zaśniemy i czuwać będziemy, upilnujemy go dobrze, my, wojownicy“.... Pogrążony w smutku pochylił głowę i zamyślał się Leze-Nalala o matce swojej, wspomniał sobie towarzyszów swoich, myślą przebiegł to wszystko co kochał i czego nie lubił.... Źrzenice jego słupem stanęły i padły przypadkiem na mary królewnej. Nagle uczuł, że więzy zeń spadły; i straż i żałobnice usnęły twardym snem przy zwłokach królewny. Wolny i samosób śród ciszy i pomroku nocnego szedł nieulękły obok wojowników spiących.... „O boleści moja! Śmierci się nie lękam; chcę umrzeć obok tej królewny, która także za młodu umarła.“ Idzie ku straży uspionej, a będąc już blisko uchyla tapy uświęconej i widzi powabne i słodko uśpione oblicze, „jakby lube oblicze dziecka uśpionego“....

Jeszcze jednym krokiem bliżej staje u łodzi, nachyla się nad tą martwą istotą, i dreszcz go naskroś przejęła. Drżał-że on z bojaźni?... O, nie znał jej królewicz; serce jego było innem uczuciem wzruszone. Ręką swą dotknął się dłoni.... zdawało mu się, jakby usta jej lekko oddychały; martwa królewna wyciąga zwolna pełne, gorące, płonie-

jące ramiona swe za nim..." — Śpijcie, śpijcie żałośnice!! — Śpijcie straże! któżby was chciał budzić?... Upojeni szczęściem, słów do do rozmowy nie mają...."

A gdy nazajutrz przyszedł król do łodzi, zastał wszystkie straże uspione, „lecz ogrom jego boleści gniew w nim przezwyciężył"; mijał straże i szedł prosto ku łodzi żałobnej, do dziecka swojej boleści. Pobladł, zmienił się nagle i mróz po nim przeszedł, wydał krzyk przeraźliwy i stał jak wryty z rozwartemi usty. W łodzi żałobnej ujźrzał opłakiwaną swą córkę.... Spokój niebiański jaśniał na jej obliczu; a na ustach jej igrał słodki uśmiech szczęścia i radości; na głowie miała koronę, spoglądała wesoło i dawała znak ręką, by nie budzić obcego przybylca, co jej u kolan spoczywa.... a potem rzecze.... Jestem żoną!... nareszcie ocknęły się i straże świadcząc się tem, że jakieś bóstwo zesłało sen na nich. Zebrała się rzesza, a groza i podziw patrzały z oczu wyspiarzy. Szepczą do siebie: to cud i wielkie dziwo! A na to mówi jeden z kapłanów uczonych: „zapewne to dusza Tajmaty w nią przeszła, gdyż oto! patrzcie... oczy jej przybrały modry kolor morza!" Niech i tak będzie — rzecze z uśmiechem piękna narzeczona — pozdrówcie mię w szczęściu mojem i tem nowem imieniem".

Król, co jak się zdaje musiał być panem dobrym i miłosiernym, poprzestał na tem oświadczeniu, a cała rzecz kończy się tak samo, jak i w naszych bajkach: żyli szczęśliwi i mieli dziatek cały różaniec. Z tego też rodu słynnego pochodzić ma teraźniejsza familia w Malietoa stojąca na czele Oneatów, a wspólne na wyspach Tonga i Samoa podanie zaświadcza, że tym sposobem obie wyspy poznały się wzajemnie już od czasu dawnego, i o wiele wprzód, nim o Europejczykach wiedziano. A mimo dwiestu mil drogi morskiej utrzymywały wyspiarze ci długi czas związki między sobą na łodziach lekkich i łykiem powiązanych.

PECADILLE CZYLI TRZEJ DYPLOMACI.

(Z francuskiego.)

I.

Po wypadkach 1830 roku chodziło Francyi nakłonić Austryę ażeby uznała obrot rzeczy lipcowy i zmianę dynastyi. Powierzono w tej sprawie misyę marszałkowi Maison znanemu w całym świecie z zacności charakteru, sądząc że w podobnym przypadku więcej zaleca uczciwość i sława waleczności doświadczonego za cesarstwa wojownika, niż zręczność świeżych dyplomatów. Marszałek luboć z niechęcią podjął się poselstwa, i przed odjazdem odwiedził księcia Tailleyranda, ażeby stanowcze i ostateczne powziąść zlecenia.

W chwili gdy się w hotelu ministra zgłasza, pracował książę w swej bibliotece. Słysząc go nadchodzącego, przybrała twarz Tailleyranda wyraz złośliwy, podobny dzieciom kiedy chcą drażnić się z ptaszkiem lub kotem.

Z tem wszystkiem stroi się, i z pospiechem kulejąc — bo wiadomo że Tailleyraud chromał — wchodzi do salonu witać marszałka.

Zastaje go w zupełnej gali, jak z całą powagą wieku i dostojeństwa swego oczekiwał przybycia księcia, pod ów czas ministra spraw zagranicznych.

Książę wszczął lekką rozmowę i nic nie znaczącą; a ilekroć marszałek zwracał do tego co go właściwie przywiodło, zawsze książę zamawiał dyskursem cale obojętnym, i im więcej przeciwnik nalegał, tem opieszalszym stawał książę w odpowiedzi. Powstał między nimi pewien rodzaj utarczki, której wodze widocznie były w ręku Tailleyranda. Marszałek mówi o zawarciu przymierza, o podpisaniu traktatów, książę odpowiada — jaki był balet w operze lub coś podobnego.

Jakżeż mam tę rzecz wystawić księciu Metternichowi? rzekł nakoniec zniecierpliwiony marszałek.

Ależ nie widziałeś Pan osobliwości mego gabinetu chińskiego, zagadł jak najpoważniej Tailleyrand. Proszę, bądź łaskaw — i biorąc pod rękę marszałka, wprowadza go do gabinetu swoich osobliwości.

W rzeczy samej posiadał książę zbiór chińskich osobliwości pod ów czas najokazalszy. Biedny marszałek musiał przepatrzyć i przesłuchać historyę wszystkich ptasząt, pawianów, osóbek, magogów, czarek, laków, skrzyneczek i setnych drobiazgów w jakich się miłośnicy podobnych zbiorów kochają.

Marszałek stał jak na szpilkach, a Tailleyranda niezawodnie w duszy bawiło zniecierpliwienie jego, gdyż niezfolgował aż go ostatecznie skruszonym ujźrzał. Wtedy wyrzekł:

Otoż to wszystko.

Dzięki Bogu! nakoniec! pomyślał w sobie marszałek, i wyraz radości odbił się na twarzy.

Tailleyrand ledwo to postrzegł, zaraz dodał:

Ale, ale, zapomniałem; jeszcze jedna a najważniejsza osobliwość w moim zbiorze: trzewiczek z prawej nogi księżniczki Fo-Aio, córki cesarza Ton-Kang; pominąłem także model statku chińskiego na żółtem morzu.

I dalej rozwodzić się jakim sposobem dostał mu się ten trzewik, i rozprawiać jakie odtąd postępy w żeglarstwie chińskiem.

Marszałka wreszcie nudzić zaczęło, już ustać nie mógł, a książę to widząc uprzejmie zaprasza:

Siadaj panie Marszałku, widzę żeś znużony.

W tej ostateczności, nie w stanie wytrzymać dłużej wykrzyknął marszałek:

Sacrebleu! Od godziny prawisz mi książę bajki i bąki puszczasz, zagadnjesz czem innem gdy zwracam do przedmiotu misyi mojej. Zdawać by się mogło że rad żartujesz. A wymówił te słowa marszałek, nie szczędząc bynajmniej wyrazów żołdackich.

Ah! misya pańska! odpowiedział Tailleyrand jak najspokojniej. Wszak z ochotą słucham, dla czegożeś wprzódy o tem nie wspomniał?

Co wprzódy? Wszak od godziny...

Nie wiedziałem; obawiałem się nudzić Pana sprawami. Jedynie w chęci nie robić Panu przykrości, unikałem rozmowy; ale z ochotą, wszak dyplomacya, to mój żywioł, wiadomo Panu... Więc Pan powiada?

Że wyjeżdżam do Austryi i...

Austrya piękny kraj, bardzo piękny.

I że do Wiednia...

Lube miasto! zachwyci Pana.

Pan Metternich...

Mąż okazały, trochę ceremonialny. Przeżyliśmy z sobą wesołe czasy; pamiętam jedną przygodkę...

Mości książę pozwól sobie powiedzieć że tu chodzi o moją misyę.

Więc?

Co mam panu Metternichowi powiedzieć?

Co mu Pan ma powiedzieć? Prawdziwie sam nie wiem.

Jakto? Pan nie wiesz?

Daruj Pan, bez namysłu to się wyrzekło. Pan mu powiesz...

Powiem mu...

Pozwól Pan chwilkę niech się namyślę. Powiedz mu Pan.

Cóż takiego?

Jedno słówko.

Jakie?

P e c a d i l l e.

P e c a d i l l e?

Tak jest, pecadille.

Mości książę, polecam się łasce jego! odpowiedział marszałek z gniewem, i wyszedł.

Życzę panie Marszałku szczęśliwej drogi. A proszę nie zapomnij Pan księciu Metternichowi powiedzieć: „Pecadille“ i to w mojem zleceniu!

W całej złości wybiegł marszałek z salonu; a książę Tailleyrand pokulał wesół zkąd przyszedł.

II.

Za przybyciem do Wiednia, przyjmowany był poseł francuski z całą okazałością. Wyprawiano dla niego uczty, świadczono grzeczności; ale ani cieniu rozmowy z ministrami. Kilkakrotnie dopraszał się audyencyi, i zawsze znalazła się jakaś przeszkoda. Że to starego marszałka gniewało, ani wątpić; miotał też klątwy na całą dyplomacyę, a były liczne, bo długoletni zawód żołnierski przyszczędzii mu nie mały zapas słówek wybornych.

Nakoniec zniecierpliwiony, zaczął z taką usilnością o audyencyę nalegać, że musiano wreszcie wyznaczyć dzień i godzinę.

Właśnie gdy marszałek w czas oznaczony do sali wchodzi, minister przy stole zwija świeżo odebraną depeszę, i rzucając okiem na zegar mówi:

Ubolewam Mości Marszałku, że tylko chwilkę mu poświęcić mogę, rozkaz Jego Cesarskiej Mości Pana mego wzywa mię jak najspieszniej. Pozwolisz Excelencya zatem tylko pół godziny na dzisiaj, w innym czasie będę szczęśliwszy.

W półgodziny, pomyślał marszałek, da się wiele zrobić, a nie pomnął że półgodzina przejść może także na niczem, jak mu tego dobitnie dowiódł pan Tailleyrand, a książę Metternich poprawił. Mimo całej usilności w ciągu minut trzydziestu, nie dało się zmieścić i trzech słów z polityki.

Czas upłynął, a minister z bolem serca przypomniał że wychodzić musi.

Więc skończyło się, pomyślał marszałek, nie wypada jak odjeżdżać do Francyi.

Nagle zastanawia się. Książę Metternich właśnie się zbierał.

Mam Panu Mości książę powiedzieć coś w imieniu pana de Tailleyrand.

A proszę!

Marszałek wahał się.

Proszę! powtórzył minister.

Pecadille! wyrzucił marszałek.

Na to słowo, odstępuje książę Metternich ode drzwi, zbliża się z pospiechem: „Pecadille“ mówisz pan?

Tak jest Mości Książę, i to z polecenia pana de Tailleyrand.

A to co innego, dla czegożeś mi Pan tego wprzódy nie powiedział? Dziś wprawdzie nie podobna mi dłużej służyć Panu, bo jak powiedziałem, Jego Cesarska Mość mię oczekuje; ale jutro i każdej chwili jestem na pańskie rozkazy, i pomówimy jak najobszerniej o wszystkiem. Bądź Pan przekonanym Mości Marszałku, że ile jest w mocy mojej przyłożę sił wszelkich, ażeby przeprowadzić poselstwo pańskie jak najpomyślniej.

Marszałek stał zdumiały, niepojmując magicznej potęgi wyrzeczonego słowa. Tegoż dnia dawano bal u dworu. Pan Metternich zbliżył sie do marszałka nucąc melodyjkę ze starej opery francuskiej:

„Pecadille, si gentille“...

i z całą uprzejmością poświęcił cały czas rozmowie z ambasadorem francuskim. Nazajutrz zjechali się według umowy na wspólne obrady, i wkrótce mógł marszałek donieść Francyi, że misya jego powiodła się zupełnie.

III.

Słówko zagadki. — Po upadku Napoleona w roku 1814, trzej dyplomaci książę Tailleyrand, pan Metternich i hrabia Nesselrode zebrani w Paryżu, obradowali nad losami krajów i Europy.

Luboć sprawy tak ważne musiały cały im czas zajmować, wydarzały się jednak chwile, gdzie się mogli otrząść z ciężaru i trudy do jutra odłożyć.

Razu jednego zebrała ich ochota wesołą sobie na osobności wyprawić ucztę. Niktby był przy tej sposobności nie rozpoznał poważnych dyplomatów, co ważą losami świata; pogodny umysł, wesołość, żarty, dowcipy płynęły z winem, i po obiedzie gdy słudzy się oddalili, nic swawolniejszym myślom oględnej tamy nie narzucało.

Rozmowa padła na kobiety.

Znam jedną, mówi książę Tailleyrand, cud piękności, nic jej nie wyrówna.

Znam i ja jedną, mówi p. Metternich, piękniejszą nad wszystkie jakie widziałem kiedy.

A moja znajomość, przydał p. Nesselrode, ręczę że nie ma sobie równej.

Moja pewnie piękniejsza, mówi jeden; moja pewnie piękniejsza, mówi drugi; moja pewnie piękniejsza mówi i trzeci; o mało do sporu nie przyszło. Jak rozstrzygnąć?

Sposób najłatwiejszy w świecie podaje p. Tailleyrand. Niech staną nasze piękności jedna obok drugiej, a będziemy widzieli.

Zgoda! ale jak począć?

Nie ma nic trudnego; dziś wielka opera, zostawiam Panom moją lożę. Każdy z nas napisze bilecik z zaproszeniem swojej bogini; my wnijdziemy poźniej gdy już będą w loży.

Bravo!

Tailleyrand zadzwonił, kazał podać piór i papieru, każdy z panów napisał bilecik od siebie, a służący poodnosił za adresem, i prawie ukradkiem ażeby ominąć ciekawych, jak pan Tailleyrand rozkazał.

W godzinę poźniej udali się także i sami, wszyscy trzej razem na operę.

Pan Tailleyrand wszedł do loży pierwszy.

Cóż znaczy ten żart? szepnął za nim p. Metternich do Nesselrodego.

Właśnie-m o to ja chciałem zapytać Pana, mówi p. Nesselrode.

Dla czegoż Książę, nie kazałeś oddać mego listu?

Owszem mojego...

Wcale nie, mojego mówię.

Szczerze zeznaję moi Panowie, nie wiem o co tu chodzi.

Ja wytłumaczę, odzywa się piękna nieznajoma, odwracając się do nich; wyciąga zpod rękawiczki trzy śliczne bileciki, i zwraca każdemu z panów dyplomatów ich własnoręczne wezwanie.

Wszystkie trzy liściki miały ten sam adres, a na adresie stało: „Pecadille.“

* * *

Nim się dyplomacya rozjeżdżać miała, zeszli się p. Metternich i Nesselrode z pożegnaniem na ostatnią konferencyę do księcia Tailleyranda.

Dobrze by było, mówi Tailleyrand, umówić się o sposób jak byśmy mogli porozumiewać się w odległości tak jak tu się porozumiewamy.

Wszak możemy pisać.

List można zgubić, i kompromituje.

Więc korespondencya cyframi.

Będzie to samo; na ludzki rozum klamki nie ma.

Więc może lepiej umówić się o parol, jak w wojsku robią, i poseł co z tem hasłem przyjedzie, będzie miał zaufanie wzajemne.

To najlepsza! Chodzi tylko jakie słówko wybrać. Pan Nesselrode radził wybrać jakie imię.

Imion tyle, może je kto jak najniewinniej z przypadku użyć, a nas przyprawić tem samem w obłąd.

Znalazłem, moi panowie, znalazłem, zawołał p. Tailleyrand nagle. Poradzę panom jedno imię, którego nikt z nas trzech nie zapomni nigdy, tego pewien jestem.

Jakież na przykład?

Pecadille.

DO ETNOGRAFII KABYLÓW.

Amân i Anaya.

Czem u narodów europejskich ustawy i instytucye polityczne, tem u ludów oryentalnych, gdzie oświata zachodnia nieustaliła jeszcze panowania swego, są po dziśdzień pewne zwyczaje narodowe, które mają znaczenie najświętszych praw u ludu, a których zachowania nieprzestrzega żadna władza świecka, tylko wrodzone uczucie sprawiedliwości, a częstokroć nawet tylko tradycyjny zabobon, połączony ściśle z obrządkiem religijnym.

Do takich zwyczajów należą także u Kabylów, pobratymców rasy arabskiej, tak zwane Amân i Anaya.

Amân jest pismo które ma zarazem znaczenie pardonu i karty bezpieczeństwa. Arab uciekający przed gniewem naczelnika szczepu, może bezpieczny powrócić byle się zasłonił Amânem. Ścigany buntownik, jeźli chce układać się z Kadym, może zejść się z nim byle był opatrzony jego Amânem. Lecz udzielić Amânu może tylko osoba zajmująca wyższe stanowisko niż ten, któremu udziela.

Anaya zaś Kabylów równa się naszemu paszportowi i karcie bezpieczeństwa, chociaż niepochodzi od prawej władzy; owszem każdy Kabyl ma prawo udzielać jej, a przecież nadaje ona, jak każda instytucya oparta na zabobonie narodowym, nierównie większe bezpieczeństwo, niż ustawy cywilizowanych krajów. Pod ochroną Anayi może cudzoziemiec uniknąć wszelkich gwałtów, niekiedy nawet zemsty swych nieprzyjaciół i kary, na jaką zasłużyć mógł dawnem swem postępowaniem.

By jednak zapobiedz wszelkiemu nadużyciu w tym względzie, nie jest Kabyl skory do udzielania Anayi i ogranicza się tylko na przyjaciołach; zbieg może tylko raz otrzymać Anayę, kupiona zaś traci ważność swoją i nieprawne roszczenie takiej ochrony bywa karane śmiercią.

Dla większego bezpieczeństwa daje udzielający Anayę temu, kto o nią prosi, jaki przedmiot znany powszechnie za własność jego, jak np. swoją strzelbę lub szablę; często wyprawia z nim swego służącego, a w szczególnych wypadkach sam mu towarzyszy.

Im większy szacunek posiada Kabyl, który udziela Anayi, tem dalej sięga uznanie jego opieki. Anayę można rozciągnąć na całą wieś i najbliższe okolice, a nawet na sąsiednie szczepy; tam przedłuży ją który z przyjaciół swoją Anayą, i tak idzie dalej. Anaya Marabuta nieznа żadnych granic. Gdy opieka naczelnika arabskiego niesięga za granicę obwodu, który zostaje pod panowaniem jego, może cudzoziemiec z Anayą Marabuta kabylskiego przejść bezpiecznie całą Kabylię, i każdy Marabut będzie upatrywał zaszczyt w udzieleniu mu dalszej ochrony, chociażby nieznał nawet nazwiska pierwszego dawcy Anayi.

Nietykalność Anayi jest u Kabyla sprawą honoru, i w obronie jej staje nietylko on sam, ale wszyscy krewni jego, przyjaciele, wieś, a nawet szczep cały. Ktoby np. niemógł znaleźć sekundanta dla pomszczenia osobistej obrazy, ma na zawołanie wszystkich krajowców swoich, jeźli Anaya jego niezostała uznana.

Ale takie wypadki zdarzają się bardzo rzadko; następujący przykład weszedł już w podanie. Przyjaciel jakiegoś Kabyla przybył do jego domu i prosił o Anayę. Żona Kabyla dała proszącemu w nieobecności swego męża znaną w kraju sukę, i wychodźca puścił się w dalszą drogę. Wkrótce jednakże powróciła suka sama krwią zbroczona. Cała wieś powstała, puszczono się śladem psa i znaleziono trupa wychodźcy. Natychmiast została wypowiedziana wojna szczepowi, na którego terytoryum popełniono zbrodnię; strumienie krwi przelano w tej sprawie, i dziś jeszcze nazywa się wieś, która miała główny udział w tej walce, Deszeret-el-Keba, (wsią suki).

Istota słaba lub prześladowana ucieka się w razie niebezpieczeństwa pod opiekę pierwszego lepszego Kabyla, którego spotka,

a ten chociażby nieznał wcale zagrożonego, rzadko kiedy odmawia mu swojej Anayi. Także i kobiety mają ten przywilej, a będąc litościwe już z natury nieociągają się nigdy z swoją pomocą. Jest powieść, że pewnego razu chcieli bracia jednej Kabylki zamordować w jej oczach zabójcę jej małżonka. Upadający pod ich razami winowajca, niemogąc już stawić żadnego oporu, chwyta Kabylkę za kolana i woła: Błagam o twoję Anayę! Wzruszona wdowa okrywa go swoim kwefem i Kabyl został uratowany. — Takie znaczenie ma u Kabylów ten zwyczaj narodowy.

BERANGER.

Znany z lubych swych pieśni poeta Beranger, dogorywa w Paryżu. Pośmiertna Muza nie omieszka opisać życie jego, my tu przytaczamy ustęp jeden z dziennika „National“ z pory ostatniej republiki francuskiej.

„Dwaj poeci Beranger i Hugo stoją dziś na liście wyborczej zastępców ludu w Paryżu. Dwie potęgi talentu i ducha, dwie sławy narodowe, ale usposobieniem serca przeciwne, charakterem różne.“

„Zezwólcie — mówi Beranger — zezwólcie mili rodacy na moją samotność. Bywałem prorokiem, mówicie; zgoda! ale zostawcie proroka na puszczy. Pustelnik Piotr z Amiens okazał się nędznym w dowództwie, luboć cudne kazania prawił; i nic nie pomogło chociaż waleczny Walter z Niemiec mu towarzyszył. A przytem, czy nie byłoby mądrze, ażeby w dzisiejszych czasach, kiedy się ludziom wydaje że do wszystkiego są zdatni, niektórzy dali przykład że umieją być niczem? Natura raczyła mię stworzyć na taki użytek, który niczyjej zazdrości nie wznieca. Nakoniec bracia, nie łudźcie się zapałem tryumfu; jeszcze może przyjść chwila, gdzie by się przydało dodać wam odwagi, albo nadzieje wasze podniecić. A jak mi ducha pod ciężarem zaszczytów waszych nie stanie, żałowalibyśmy wtedy. Dozwólcież zatem niech umieram jak żyłem, i nieprzetwarzajcie w lichego prawodawcę starego brata a poczciwego spiewaka.“

To Beranger; a Hugo?

Hugo jeszcze sam za sobą i to z prawem wystąpił; wystąpił z prawem foliałów nadrukowanych, z prawem dramatów swoich, z prawem rozpraw swoich w izbie parów parlamentarskich.

Jak można urządzić zegar zwierzęcy.

Jak wiadomo wynalazł Linneusz „zegar kwiatów“. Przy dokładnej obserwacyi życia zwierząt można z równą łatwością urządzić zegar zwierzęcy. Zwierzęta bowiem zachowują największą regularność w swoich godzinach. Wróbel np. budzi nas zrana o pewnej godzinie świegotem swoim u okien naszego pokoju. Wieczorem kłóci się znowu o pewnej godzinie z sąsiadami swymi o najlepszy i najcieplejszy nocleg, a w południe odbywa tak sumiennie i punktualnie swoją siestę, jak gdyby próżniaczysko cały dzień pracował. Wrony opuszczają o pewnej godzinie swoją kwaterę nocną w lesie, a wieczorem powracają do niej znowu o jednym czasie, ale o pół godziny poźniej niż inne ptactwo drapieżne. Zające wychodzą o pewnej godzinie wieczorem na pole. Lis opuszcza swoją jamę regularnie o 1 godzinie w nocy, rzadko kiedy pierwej. Kuny wychodzą co wieczór o pewnym czasie na rabunek. Tak samo mają inne zwierzęta, jak np. psy, gołębie, kury, i w ogóle większa część naszych zwierząt domowych doskonały zmysł czasu, i przeto można łatwo urządzić z zwierząt domowych bardzo dokładny zegar zwierzęcy. Znane są gołębie Wenecyi, które z uderzeniem 2 godziny w południe zlatują się na placu ś. Marka, gdzie rzucają im pokarm. Pewien jegomość miał pudla, który co rana z uderzeniem godziny 7 sięgał do kosza piekarskiego po bułki, a u pewnego szynkarza był pies, który polubił tak dalece jednego z gości, przychodzącego co soboty o godzinie 3 po południu na kręgle, że regularnie tego dnia na pół godziny przed 3 wybiegał naprzeciw niemu za bramę i niecierpliwił się wielce, gdy gość opóźnił się nieco. Kto ma liczny stan bydła, może urządzić sobie dokładny zegar zwierzęcy w ten sposób, żeby przez cały miesiąc karmił np. konie codziennie o godzinie 6 zrana, krowy o 7, nierogaciznę o 8, kury o 9, gołębie o 10, psa o 11, i po południu zachowywał ten sam porządek. W krótkim czasie będą zwierzęta te zgłaszać się same o swojej godzinie, i zegar ten byłby tem pewniejszy, że instynkt zwierzęcia nigdy się nie myli, a główne kółko tego zegaru zwierzęcego — żołądek — nigdy się niezastanowi.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.